№ 100

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

NIEDZIELA 30 GRUDNIA — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1837

ASMODEUSZ W ROKU 1837.

(*Wieczór trzeci.*)

Literatura i obyczaje.

Gdy trzeciego wieczora wszedł Asmodeusz do D. Kleofasa, ten ostatni siedział zadumany, milczący, nad stolikiem, na którym leżało mnóstwo xiążek, a jeszcze więcej prospektów, specimenów, planów, rycin i literackich ogłoszeń. Po cichu, z tyłu, zaszedł go szatan, witając uśmiechem suchym i szyderskim.

— Cóż-to czytasz?

— Nic jeszcze, odpowiedział D. Kleofas. Cieszę się tylko i smakuję jak gastronom nad kartą obiadową w hotelu. Tyle nowych dzieł zapowiedzianych!

— Nowych nie tyle—przerwał mu Asmodeusz—ile przedruków. Zdaje się, że handel wasz nad potrzebę nawet zarzuca was nowemi edycyami, których spożyć nie potraficie, nawet z pomocą myszy i tych świeżo-panków, co to całe biblioteki razem za meble do gabinetów zakupują. Dziwna rzecz, jak się handel płody umysłowemi poniżył i spodlił. Dawne Aldy i Elzewiry byli to ludzie uczeni często, zawsze uczciwi i dość znający rzecz swoją; dzisiaj, proszę cię, czem się różnią xięgarze od prostych kupców, handlujących sukuem i korzeniami?? Znowu dają inni przykład niesłychanego poniżenia, robiąc z wydawania dzieł spekulacyą śmieszną i tak oczewistą, iż w niej czuć ostatnią obojętność czytelników, którą powabem zysku starają się podniecić. Subskrypcye stały się loteryami, na które prenumerują dla prym wielkich, lub zegarka z łańcuszkiem. Każde pismo peryodyczne, wprzód nim ustali ducha, tendencyą i charakter, nim się na świat wychyli, ma towarzystwo akcyonaryuszów, które czuwając nad swojemi zyski, myśli tylko o uczynieniu umysłowego pokarmu smacznym, nie zaś zdrowym

— Eh! już i na to przyszła ci ochota krzyczeć Asmodeuszu, odburknął D. Kleofas.

— Gdybym był człowiekiem, powiedziałbym, że to jest profanacya. A potem, powiedz mi, na co się zdał taki ogrom nowych wydań co rok, co pół roku? Ta spekulacya jest tylko marnotrawstwem czasu i papieru. Dodanie nowych not, przemowy, biografii emfatycznej, (gdyż podobno modą jest także u was wynosić poniżonych i całkiem nieznajomych autorów, i nazywacie to »jałmnżną sławy« a tę jałmużnę obficie sypią ci sami, którzy najsławniejszym pisarzom upornie ich ustalone wydzierają wieńce), te dodatki, nowe klisze, lub *cul de lampes* Tony i Alfreda Johannot—stanowią cenę istotną nowych wydań. A wiele osób, odurzonych głośnem prospektem, kupuje nowe, zarzuca stare edycye.

— Co temu to niepodobna przyganiać, Asmodeuszu, rzekł D. Kleofas,—oczewista korzyść xiążki

porzucone wpadają w ręce niższym klassom, za tanie pieniądze, i to powiększa liczbę czytających.

A! wielką z tego niższe klassy korzyść odnoszą —odpowiedział śmiejąc się do rospuku djabeł. Jeszcze wy, ceniąc książki jako wyroby sztuki, widząc w nich sztukę tylko, nie tendencyą i facta, nie psujecie się, boście już przefermentowani; ale dobroduszni czytelnicy klas niższych, wierząc święcie w każdą rzecz drukowaną, ślicznych się pewnie rzeczy nauczą w waszej dzisiejszej literaturze. (*) Ażebym wziął z tego miarę waszego smaku, usposobień i ukształcenia, chcę wiedzieć D. Kleofasie, jaki też autor dzisiejszy najlepiej się płaci, najwięcej się sprzedaje?

— Poczekaj, podobno dawniej lord Bayron.

— A teraz?

— Oh! różni. Scribe kupił zamek.—A! przypominam sobie: Paul de Kock, bo ten bierze aż do kilkudziesiąt tysięcy franków za jeden tom.

— Co!—ten arlekin literatury, ten cień niby dowcipnego Pigaulta! gubisz siebie, sławę świata i Francyi, mówiąc rzecz taką!

— Tak jest jednakże.

— Jak to! możez to być, aby te romanse karykaturalne, gminne aż do ckliwości, jednostajne jak figury marjonetek, które dziś króla Salomona, jutro w innej sukni Heroda wystawują; możeż to być, aby te tak pospolite, bez żadnej myśli wyroby, miały tylu czytelników? Chyba żartujesz? (**)

— Nie; on najlepiej jest płatny. On, a może Scribe drugi.

— Jeśli tak, to próżno w teoryach filozoficznych prawicie o ognistej, exaltowanej poezyi; duch waszego wieku strawić jej jeszcze i silniejszego pokarmu wziąść nie dozwala. Czytacie Kocka tak, jak dzieci i kobiety jedzą łakocie, przyprawne krochmalem.

— A, zmiłuj się, cóż w tem złego, że się bawią?

— I zapewne, niech się bawią, i niech się psują. Ja na to pozwalam, ja temu poklaskuję.

Don Kleofas milczał i chodził. Potem przewrócił jakiś magazyn malowniczy angielski, w którym widać było Barsę, małpę, portret lady Morgan, krzaczek herbaty i machinę parową, razem odrysowane na jednej stronnicy; i odezwał się — A toż?

— Najszkaradniejsze szachrajstwo, pstrocizna do niczego niepodobna, żyjąca tylko swoją taniością. Nią to staracie się upowszechnić literaturę i zachęcić do czytania. Lecz, na wszystkich djabłów braci moich, to tak jakby kto chciał w drzewie zrobić dziurę klinem, który je rozłupie i nic więcej. Będą czytać, to prawda, będą czytać magazyny; lecz cóż za korzyść moralna z tej siekaniny myśli i rzeczy, bez ciągu i systematu? Takie czytanie zrobi ich półmędrkami zarozumiałemi, odstręczy od zdrowszego pokarmu. Jedno tylko muzeum P. Henryka Berthoud ma ciąg, myśl i plan; reszta jest tylko jak wszystko dzisiaj, spekulacyą towarzystwa akcyonaryuszów, które porzuciwszy magazyn weźmie się z równie zimną krwią do kopalni węgla ziemnego. Ten rodzaj mozaiki jest niższy o wiele od wszystkich waszych teoryj, od całej waszej mniemanej cywilizacyi. Ale lubicie obrazki, trzeba wam to, jak dzieciom, przebaczyć!

— To znowu za wiele, odpowiedział Don Kleofas, możnaż takie wnioski, z tak błachyh wyciągać rzeczy?

— Wszystko ma znaczenie; każdy płód wieku, jest rośliną jego ziemi i klimatowi właściwą, charakterystyczną. Pokup nareście tych tandetowych wyrobów usprawiedliwia znaczenie, jakie im dać muszę. Powiedz mi, D. Kleofasie, co ty myślisz o wpływie teraźniejszej literatury na obyczaje?

— Przyznam ci się, że o tem nie myślałem. Będzie jak los postanowi.

— Jak Turek wierzysz w przeznaczenie. Jednakże, D. Kleofasie, literatura wasza musi wywrzeć wpływ swój na obyczaje. Przypomnij sobie, ilu samobójstw Werther Göthego był przyczyną. A gdy Göthe

(*) *Wielka prawda, która się nieszczęściem iści nietylko na pewnych klassach, ale i na całych narodach, przynajmniej na całych generacyach.*

(**) *Nic tyle zaszczytu nie czyni P. Kraszewskiemu, niegdyś tłumaczowi Paul de Kocka, jak to szczere wyznanie. Tygodnik Peters. może się pochlubić, że otwarcie wyrzeczonemi prawdami, odwrócił P. Kraszewskiego od tak niegodnej jego rzadkiego talentu pracy.*

chciał na niego dać antidotum; tak słaby, tak zimny zrobił dramat, że zaledwie uwierzyć można, iż go pisał autor Goetza, Fausta, Tassa i Ifgenii. Przypomnij sobie ile »Rozbójnicy,« dzieło pierwszej młodości Schillera, narobiło waryatów między burszami niemieckiemi,—ile lord Bayron miał naśladowców, nie już dzieł swoich, lecz życia swojego i bohaterów swoich. Wielkiej sławy pisarze odbijając się w dziełach swoich, w bohaterach przez się stworzonych, zawsze jakiś wpływ fascinacyjny wywierają na nierozważny tłum.

Ten wpływ z początku objawia się tylko pod trywialną formą mody jakiej, lecz daleko głębiej sięga. Od ubiorów a la Werther i Lotchen zaczęły się samobójstwa, których wymówną exkuzą, był ów romans natchniony śmiercią młodego przyjaciela. Myślisz-że, iż wielu dzisiejszych zbrodniarzy, że Lacenaire, że zbyt głupi na bohatera Fieschi, i wielu innych, nie zostało natchnionych dziełami jadowitemi dzisiejszej literatury, choć nie wprost może, to przez odbicie z drugiej ręki? Myślisz-że, iż wiele czystych dziewic i dobrych żon, nie zakołysały sumieniem te obrazy kradzionego szczęścia, które spotykają w Sandzie i innych?

Wszystkie zbrodnie kolorowane starannie, znalazły obrońców, co mówię, nawet panegerystów. A piekło i ja cieszymy się niewymownie. Samo pijaństwo, pod tylu poetycznemi formy jakichś nadziemskich szałów wystawiane, pewnie więcej zyskało prozelitów, niżeli ich straciło staraniem towarzystwa wstrzemięźliwości. Literatura zepsuta jest jak owa trucizna XVI wieku; można ją dać na upodobany czas: zabije za godzinę, lub za sto lat. Nie ujdzie wam bezkarnie ta chwila szału. Widzicie już jej skutki we Francyi, która zdaje się być jądrem ogniska. Możeż być co monstrualniejszego, (chciałem powiedzieć piękniejszego), pod względem obyczajów, nad nią? Przy tak wysoko posuniętych pozorach oświaty, przy polorze tak szeroko rozlanym po różnych klassach narodu, cóż za zepsucie!! (chcę mówić jaka poprawa)! Ja, jako szatan z professyi, a obserwator z nałogu, cieszę się i śmieję. Lecz wy, jako ludzie, i jeszcze tak dumni, chwaląc się ze swego XIX wieku, możecież się za to niewstydzić? Czytaj tylko gazety Francyi i Anglii trybunałów i prowincyj: ilež to bankructw i zbrodni, ile szałów miłośnych, exaltowanych do waryacyj, ile ohydnych sposobów nabycia pieniędzy *coute qui coute*. O! piekło poklaskuje! Ci młodzieńcy, którzy sterawszy młode lata na niestrawnem czytaniu, na gorących rozkoszach, na bezładnych i nieopartych na żadnej stałej zasadzie dumaniach, szukający uczuć nowych, ostrych, w grze, napoju, w brzydkiem towarzystwie, a kończący życie w przesyceniu, gorączce, rozpaczy, odczarowaniu i samobójstwie; ci zbrodniarze, co piszą sonety idąc na place de Grève, nie sąż to rośliny waszego wieku? Te kobiety, idące do ołtarza dla pieniędzy, tytułu, lub swobody; przysięgające bez uwagi, łamiące przysięgi bez zgryzoty, zepsute i umierające nędznie w niewczesnych żalach, nie sąż to także dzieci wieku? Ci handlarze spekulanci, którzy robią interessa i pożyczki, żeby uciekłszy z pularesem do Anglii, zbankrutowawszy, okradłszy łatwowiernych, żyć sobie wygodnie a bezczelnie z tamtej strony *Pas de Calais*, bez cienia zgryzoty, bez najmniejszego wstydu;—i to dzieci XIX wieku! Ci pisarze wasi, którzy, byleby się wsławić, nie patrzą jak to uczynią i trują potrawy, które ludziom podają, byle ich smakowi dogodzić, a kieszeń naładować; ci pisarze bez wiary i sumienia, którym pozór emancypacyi z więzów dawnych teoryj, daje wolność dokazywania bez miary, nie sąż to istoty zrodzone i wylęgłe ze zgnilizny XVIII wieku, zasianej nasieniem XIX? Myślisz-że, iż bez tendencyj czasem przez nich rzucone myśli nie utkwią gdzie w próżnej głowie, nie zaezumią w sercu, nie poruszą ręku? Wiek wasz powtarzam, jest wiekiem obojętności moralnej. Próżno tam poczciwszy jaki Droz, lub Dégerando, spokojni, zimni moraliści bez wielkich, uderzających talentów, chwalą sobie cnotę czystą, nudną, jednostajną, gdzie dowcipny nasz autor fizyologii małżeństw lub jaki inny ognistopióry bajarz, wszystko w żart i śmiech obróci jednem słówkiem. A dowcip tak jest silny póki świeży! Próżno tam mówić o bezinteresowności w heroizmie, gdzie Jeremiasz Bentham zwycięzko do egoizmu przemówi swoim systematem utylitarnym. Tysiąc jeden dla interesu, drugi tysiąc niewiedząc co robi, trzeci tysiąc dla tego, że wszyscy idą, pójdzie za zwodzicielem. A Lucyfer, jakże się cieszy!

Sceptycyzm, dziecię naszego piekła rodzone, wszędzie już się wśliznął, rozrosł i puszcza coraz nowe gałązki. Nim to wasz wiek uczynił dwa wielkie odkrycia, a raczej je upowszechnił: że *piękność* i *prawda* są *względne*, a tem samem, *smak* i *pojęcie*, a tem samem *szczęście* i *rozum*. Na czemże się teraz oprzecie, gdy wszystko w około was się chwieje, a wy to czujecie sami? Jaka być może przyszłość wieku, który w siebie niewierzy tylko o tyle, o ile jest *dziś*, a nic nie może rachować na jutro!

Krzyczeliście, pomnę, na *rococo* niedawnego smaku w sztukach; powiedźcie w czem jesteście od niego wyżsi. Macież jaką wyrozumowaną ideę, jednostajną normę waszego smaku? To co dziś zowie się u was *rococo*, miało przynajmniej tę zaletę, że było stale jedno. Ale XIX wiek zbudował kolumnę Vendome, sprowadził obelisk luxorski, postawił bursę, wymyślił słonia-fontannę, mnóstwo gotyckich naśladowań stworzył i wzniosł gmachy czysto-greckie w Munich. Cóż myśleć o takiej rozmaitości, o takiej giętkości waszego smaku? Obelisk luxorski w Paryżu, jest to jakby trzewik balowy, uszyty ze starego pargaminowego rękopisu, słoń-fontanna niewiedzieć co znaczy, kogoż posadzicie na palankinie? Bursa, jakby Ateńska świątynia, dziwi się pewnie, że tam stoi gdzie się wznoszą wieże i płaskorzeźby *Notre-Dame*. Wasze ogrody są zapewne naturalniejsze od dawnych, ale natura będąca domniemanym typem parków i bóstwem parkomanów, nie sypie ścieszek żwirem i nie zbiera tak prawidłowie drzew w bukiety. Niech mi Pikler Muskau wybaczy, z nim wszyscy lubownicy ogrodów, one nie są upięknione naturą tylko znać w nich dobrze sztukę, choć ją jak mogą zasłaniają.

Tak u was w naukach pełno jest oglądania się niespokojnego na jutro, którego się niezmiernie lękacie. W literaturze taż sama niepewność, codzień chwalicie co innego; w sztukach, rozmaitość bez braku, ubieganie się za nowością, zabiło smak. Djabeł i Wenus Hotentocka i karły z rodzają Szekspirowego (i naśladowanego zeń Hugonowego *Quasimodo*) są teraz w modzie, jak dawniej byli gladiatorowie, Wenery Medicyjskie, aniołki. Cóż to dziwnego? Jesteście znudzeni, a powiadacie za wymówkę, że *piękność* jest *względna* (relative). Lecz podobno są punkta w życiu ludzkiem, są uczucia w sercu człowieka, pewne, stałe, niezmienne, wspólne wszystkim wiekom i krajom; od tych idąc, zdaje się, że niewszystko znajdujemy względnem. Ale, wola wasza; cóż biednemu djabłu do tego! Sprowadźcie choćby świątynie Wisznu do Paryża, a opactwo Westminsterskie do Aten, mnie nic do tego. Rozumie się tylko, że się śmiać będę.

— Poczekajże i odetchnij, rzekł D. Kleofas uśmiechając się, bo się z gorliwości zakrztusisz. Musisz nie być w zgodzie z Lucyferem.

— Ale ja to wszystko chwalę, wielbię, unoszę się, winszuję, gotów jestem pomagać nawet. Z rozkoszą poglądam na wszystkie niedorzeczności, na królestwo egoizmu wznoszące się na ziemi, na profanacye wszelkiego rodzaju z religij waszych, literatury, filozofii, nauk, moralności; na przedajność waszą, na obojętność zimną, na zwierzęce *dzisiaj*, będące godłem wieku. Serdecznie was szacuję i kocham. Lękaliśmy się, powiem ci prawdę, tak głośno chwalącego się wieku, poczynającego od potępienia przeszłości. Można się było po nim spodziewać, że będzie lepszym od dawnych. Piekło się zatrzęsło; wyglądaliśmy ze strachem przez kratery wulkanów i w milczeniu czekali. Lecz potem zawołaliśmy jednogłośnie. *Tylko to!* strach nas odszedł i śmiejem się sobie. Wasza Anglia, tak rozumna, tek ucywilizowana, tak mądrze postępująca we wszystkiem, czegoż nie dokazuje, jakże się nie poniża, nie kala, gdy chodzi tylko o wybory reprezentantów, których nie gorliwość dobra publicznego, lecz dziecinna próżność, lub duch partyj zagrzewa.

Jako najosobliwszy dowód bezczelności cytować można mniemane odkrycia Herschella na księżycu. Kiedyż się to zdarzyć mogło co podobnego!

— Zapalasz się zbytecznie Asmodeuszu, rzekł D. Kleofas, uspokój się i ochłodnij trochę. Zdaje mi się, że piekło nie tyle na tem zyska, ile ci się zdaje.

— Nie—ja się nie mylę, tak przynajmniej jak wasi statystycy w rachunkach śmiertelności.

— Nareszcie przypomniałeś mi chlubę wieku. Banki oszczędności, assekuracye na życie i t. p. towarzystwa i zakłady dobroczynne.

— Zimne spekulacye—odpowiedział djabeł. Nie chwalcie się tem. Cóżeście winni, że swój interes robiąc korzystnie, zyskując w obrocie kapitałów ogromne procenta, możecie toż dobrze uczynić ludziom, gdy to nietylko nic wam nie kosztuje, lecz jeszcze przynosi? Ale pokaż mi zakłady dobroczynne bezinteressowne, pokaż mi fundacye jakich tyle dawniej było?

— Są—są i te.—

— Wzywam cię żebyś mi ich połowę tyle naliczył, ile ja ci wymienię w XVI a nawet XVII wieku. Cóż dopiero z dawniejszych?

D. Kleofas po tych słowach rzucił okiem gniewliwem na szatana i rzekł:

— Chcesz mi więc koniecznie życie obrzydzić?

— Nie, chcę ci tylko pokazać świat jakim jest istotnie, po przyjacielsku. Przytem śmiać mi się i gadać chciało, przyszedłem do starego znajomego. A teraz, po rozumowaniu, przykłady; nim nową zaczniem gawędę, chodźmy na dachy!!

J. J. *Kraszewski.*

Omelno
Dnia 24 Listopada 1837.

KONIEC ROKU 1837.